

BOHATER,

czyli sen w Sobieszowie

Najpierw był to jakiś wielki i bardzo wspaniały hotel. Błąkałem się po nim z pełną świadomością, że posiadam w nim bardzo piękny, wielki i wspaniały apartament, że należy tylko do niego trafić. Na dole zaś był wielki międzynarodowy kongres z rodzaju tych, jakie już widywałem. Chodzili tam ludzie z całego świata, o wszystkich kolorach skóry i w różnych latach, młodzi i starzy. Zauważyłem wtedy na parterze osobne, najpiękniejsze schody, którymi szły do swoich pokoi panie w puszystych futrach gronostajowych, spod których wyglądały długie, wieczorowe suknie. Na sztych miały kolie z cudownych kamieni, we włosach diademy, a na palcach pierścionki – zupełnie jak te kobiety, które przychodzą lśniące klejnotami, bielą futer i czernią jedwabi na galowe przedstawienia opery paryskiej. Towarzyszyli im mężczyźni we frakach, szapoklakach i pelerynkach, z czarnymi hebanowymi laseczkami, zakończonymi główką z kości słoniowej. Wiedziałem od razu, że tymi schodami nie będę mógł iść po głębokim dywanie wśród kryształowych aplik i rzędów służby w czerwonych frakach, pudrowanych perukach i białych pończochach. Miałem na sobie jakieś pomięte ubranie i – co gorsza, a co usiłowałem ukryć chodząc bokami – spadające z nóg drewniane chodaki jak te, które nosiłem w obozach pracy.

Zaszedłem do sal kongresowych. Była przerwa, wszyscy rozmawiali i jedli, pełno było po stołach i na bocznych, wysokich barach najlepszych kanapek, słodczy, kandyzowanych, kolorowych owoców, papierosów i różnych prezentów w prześlicznych *étuis*. Zaczepiało mnie mnóstwo znajomych delegatów: wysoki Francuz w opiętym oficerskim mundurze, ciemny Abisyńczyk, krępy Włoch – wszyscy uśmiechnięci, że tak jest świetnie, że tak wszystkiego pod dostatkiem i tak bogato, i że taka swoboda panuje na sali, i że przemowy są takie ciekawe i pełne szczerzej troski o ludzi. A ja coraz niespokojniej patrzyłem w ich twarze i usiłowałem odczytać, czy oni i mnie – znajomemu – kłamią, czy wierzą w to, co mówią, czy też patrzą jak ja w ich oczy, tak i oni w moje? I wydawało mi się, że niektórzy przymrużają jedno oko porozumiewawczo i przyszli tu tylko po to, by wyładować kieszenie paczkarni papierosów, pudełeczkami z kawiozem i zegarkami w tych ślicznych irchowych *étuis*. Ale nie. Wysoki Francuz wziął mnie pod rękę i prowadził przez tłum. „*Dites donc, est-ce que tout ceci c'est de la fumisterie?*” („Niech no pan powie, czy to wszystko to bujda z chrzanem?”). Odpowiedź ugrzęzła mi w gardle, czułem, że to może być prowokator, odszedłem szybko, natykając się na krępego Włocha. Siedział przy małym stolczku osłoniętym od wielkiej sali ciężką kotarą. Czułem się wyczerpany, chciałem się przysiąść, gdy zobaczyłem pytający wzrok Włocha. Trzeba by mu powiedzieć całą prawdę, bez ogródek, ale jak, jakie znaleźć słowo, jedno słowo, najkrótsze? Jak je wypowiedzieć najprędzej i żeby było takie, by całą prawdę zawarło? I już chciałem powiedzieć, gdy zobaczyłem postać schowaną w fałdach kotary, z ogromnym uchem przytkniętym do niej. Widok ten poderwał mnie. Szarpnąłem kotarę i pokazałem Włochowi tę postać. „Więc to tak” – powiedział Włoch, a ja wołałem: „Tak, tak!”, i zacząłem krzyczeć coraz głośniejsze, zerwałem się i biegłem przez salę roztrącając wszystkich delegatów, którzy zdumieni patrzyli na ten skandal, na mnie, biegnącego przez to całe zebranie.

A ja biegłem, byle się prędzej dostać do mojego apartamentu, który gdzieś tu, w tym budynku, na którymś piętrze się mieścił. Biegłem korytarzami, szukałem właściwej klatki schodowej i wiedziałem, że nie wypchałem sobie kieszeni czekoladkami ani papierosami, ani pudełeczkami z kawiozem. Aż wpadłem wreszcie na schody, ale były one ażurowe, że widać było przepaść między stopniami, a potem korytarze były długie i mojego apartamentu tam nie było ani nie było końca prostopadłym tych korytarzy zakrętom. Nie pamiętałem też, który jest numer tego mojego apartamentu, 216 czy 414, czy jeszcze jakiś inny i na innym piętrze, więc wpadałem na coraz to inną, gorszą i trudniejszą do przejścia klatkę schodową, gdzie brakowało już po kilka stopni i trzeba było je przechodzić okrakiem, trzymając się poręczy, która znów

stawała się coraz bardziej chwiejna i zbutwiała. Aż gdzieś u zbiegu dwóch korytarzy zobaczyłem troje dzieci, chudziutkich i w lachmanach, bawiących się na ziemi kilkoma drewnianymi klockami. Pochyliłem się nad nimi i żałowałem, że nie wziąłem czekoladek z dołu. Ale przechodził jakiś gruby członek kongresu i zaczął wysypywać z kieszeni całe mnóstwo cukierków, sandwiczów i innych dobrych rzeczy. Więc poszedłem znowu na dół, ale tam wszedłem na okropny, ciemny i zabłocony dziedziniec, za którym stały otoczone drutami baraki. Wiedziałem już, że tam, w tych barakach, czeka na mnie prycza, na której może wreszcie znajdę chwilę odpoczynku. Ale nie. Schwytano mnie do pracy, musiałem dźwigać ciężkie szyny, wyciągać je z lodowatego błota i nosić z takimi jak ja, obdartymi i wynędzniałymi ludźmi. Stali nad nami dozorczy z pałkami i poczułem się wreszcie na swoim miejscu, wolny od dręczących pytań, od ludzi, którzy podsłuchują za firanką, od ażurowych schodów i zmurszałych poręczy, od całego tego hotelu, w którym chwyta się do kieszeni czekoladki, sandwicze i kawior.

Dozorczy gwizdnęli na fajerant, bo obok, torem, przejeżdżał pociąg ze zwłokami bohatera. Staliśmy gęsiego, w czarnym błocie, z przerzuconymi przez ramię wielkimi, żelaznymi uchwytami do szyn. Tor był oświetlony reflektorami, zupełnie jak wtedy, gdy rozstrzeliwują, obstawiony wojskiem i policją. Wolno zaczął się przesuwać pociąg obwieszony sztandarami. Długi rząd wagonów specjalnych, całych jak olbrzymie, prostokątne trumny, przesuwał się – a pierwsze wagony były całe w kirze i bieli, a potem szły dalsze, jeszcze dłuższe, całe w czerwieni i złocie. Usiłowałem rozpoznać wśród nich wagon, w którym znajdowało się ciało bohatera. Ale nie sposób było go rozpoznać, bo wszystkie wagony były równie wspaniałe. Wszystkie takie same. Aż z jednego wyszli ludzie w dziwnych szatach, z kapturami na głowach, opadającymi z przodu aż do połowy twarzy. Podobni byli do postaci, które dźwigają w Luwrze na swych barkach nosze z ciałem rycerza, Wielkiego Seneszala Burgundii, Filipa le Pot. Tu dźwigali nosze przykryte przezroczystą tkaniną niby gęstą, morską siecią. Leżało pod nią ciało błyszczące, jakby własnym blaskiem świecące. Stałem przykuty tym widokiem, a oni położyli nosze na ziemi i odsłonili siatkę. Wtedy zobaczyłem, że ciało się porusza, że żyje i że ramiona ma przytwierdzone grubymi sznurami do poprzecznego drąga. „Więc to nie jest ciało bohatera, które wiozą?” – pomyślałem. Ale zobaczyłem, że z wagonów wynoszą więcej takich ludzi przywiązanych do niby pół-krzyżów. „To są mordercy tego bohatera” – zrozumiałem nagle. A oni podźwignęli tego, który leżał najbliżej, stawiając całe to drzewo z poprzeczką przede mną. I stało się ono wtedy całkiem jak krzyże z dawnych flamandzkich obrazów. I zobaczyłem wtedy, jak całe ciało wykręciło się od spazmu takim ruchem, jak ci przestępcy, których hitlerowcy wieszali w obozach przede mną. Lecz tu głowa uderzyła o poprzeczny drąg, opadając poniżej wykręconych bark. A ja zacząłem krzyczeć, że nie chcę takiego męczenia, że nie chcę, nawet jeżeli oni są mordercami bohatera, że nie chcę takiego świata. Stałem i krzyczałem coraz głośniejszym głosem, czując, że ani tam, na sali, ani tu, przed tym widokiem, że nigdzie się już nie ukryję na świecie, nigdzie nie ucieknę.

I krzyk przemienił się w białość, w dzień, w którym biły zegary – biciem, od którego krew w żyłach tężeje i serce zamiera.

To była piąta.

1953

Zygmunt Mycielski, *Ucieczki z pięciolinii*, Warszawa 1957, s. 42–46.